

Jak to science-fiction igrało z Bogiem

Autor tekstu: **Łukasz Kubasiewicz**

Drugiego dnia Bóg stworzył wstępy — więc wstęp wyrzuciłem. Słowo „naukowa” w zwrocie „fikcja naukowa” pozwala na dość poważne ograniczenie zakresu rozważań. Bez zbędnej rozpaczki porzucam rozważania o wszelkiej duchowości i nadprzyrodzoności. Postaram się również stąpać obok słowa „nauka” na palcach, próbując nie zbudzić niejasnych podejrzeń.

Istota boska, moim zdaniem, winna się charakteryzować przede wszystkim intelektem rozwiniętym do poziomu nieosiągalnego dla człowieka (człowieka w sensie istoty niższej, stykającej się z bogiem — istotą wyższą), być czymś „ponad”, oraz posiadaniem nieznannej i niedostępnej dla człowieka zdolności kreacji.

Dziwne uczucie piasku w butach

Teoria boskości dość obszernie eksploatowana była już od narodzin cyklu powieściowego Franka Herberta, zapoczątkowanego *Diuną*. Herbert, swoją skłonnością do mozaikowego budowania obrazu bóstwa a następnie pieczołowitym go rozszczepianiu zawsze zwracał moją uwagę spośród morza autorów pomijających prawie zupełnie kwestię Ziemi w literaturze science-fiction. Mimo widocznych zapędów w kierunku opisanego istoty wyższej, dopiero wymyślona przez niego postać Leto II, losy której rozpoczęły się w części trzeciej serii pt. *Dzieci Diuny*, stała się jakby wynikową wszelkich aspiracji Autora do przedstawienia wcielonej istoty boskiej. Leto II, którego historię schyłku życia poznajemy w *Bogu-Imperatorze Diuny* jest dość ciekawą próbą połączenia w jednym, zdeformowanym ciele świadomości ludzkiej i świadomości zwierzęcia.

By jednak zrozumieć istotę boskości Leto, poznać trzeba środowisko w jakim przyszło mu narodzić się i zawładnąć imperium ludzkim. Diuna, planeta na której narodził się Leto była jedynym znanym ludzkości miejscem występowania Melanżu — niezwyklej przyprawy która przedłużała życie i, co najważniejsze, pozwalała zaglądać w przyszłość przez ledwie dostrzegalne luki w materii. Leto — wynik ciągnącego się poprzez wieki doboru genów, który wymknął się w ostateczności spod kontroli, w stadium płodu zetknął się ze skoncentrowanym Melanżem — esencją przyprawową, przez co spoczywając w łonie matki, uzyskał pełną świadomość swoich wszelkich przodków. Przyprawa przenikająca go od tak wczesnej fazy rozwoju, ten gwałt zadany jego dzieciństwu, pozwoliła mu już po urodzeniu na prawie nieograniczone lustrowanie przenikających się ścieżek przyszłości.

Właśnie w czasie jednej z takich wizji, Leto ujrzał upadek i śmierć rodzaju ludzkiego, perspektywę tak straszną, iż zmuszony był wybrać jedyną ścieżkę mogącą temu zapobiec - zjednoczenie się w jednym ciele z Czerwiem — ogromnym, otoczonym czcią stworzeniem wytwarzającym w piaskach Diuny Melanż. Uzyskując w ten sposób nie do końca doskonałą nieśmiertelność, ustanowił siebie Bogiem-Imperatorem, szantażując inne światy groźbą zniszczenia wszelkich zapasów Melanżu, bez którego podróże międzygwiazdne byłyby niemożliwe. Dostrzec w Leto można niejakiemu przeciwieństwo poświęcenia Jezusa.

Według aktualnej doktryny chrześcijańskiej, Jezus porzucił własną nieśmiertelność na rzecz ludzkiej cielesności, natomiast z kart powieści dowiadujemy się, że Leto, w akcie poświęcenia zamienił ludzkie ciało na rzecz zgoła przeciwną. Gdyby porównać obydwie rodzaje poświęceń, Jezus, świadom swojego przyszłego powrotu do utraconego stanu, wydaje się wbrew pozorom w dużo lepszej pozycji od Leto. ^[1] Oto człowiek, a w zasadzie dziecko, zatraca w ciągu tysięcy lat, krok za krokiem całe swoje człowieczeństwo, wpierw ciało upodabniające się do ciała Czerwia, później również umysł, który coraz częściej cofa się w podświadomość, pozwalając na przejęcie rządów nad ciałem przez domagające się krwi zwierzę.

Tragizm postaci Leto tym bardziej nas dotyka, gdy ukazana zostaje jedyna skuteczna broń ludzi przeciw tyranowi — kobieta tak dalece dobra i niewinna, iż samym swoim istnieniem zadająca ból utraconemu człowieczeństwu Leto. Jak nie trudno się domyślić, Frankowi Herbertowi nie chodziło tylko o przedstawienie Leto jako doskonalszego Jezusa-zbawiciela. Imperator wydaje się tu ucieleśnieniem ludzkich dywagacji o fizycznym panowaniu istoty boskiej na Ziemi. Ów bóg, w przeciwieństwie do przedstawicieli znanych nam religii, umiejscowiony jest twardo w fizycznym wszechświecie. Można go zobaczyć i usłyszeć podczas audyencji bądź święta, poczuć ustanawiane bezpośrednio przez niego prawa na własnej skórze, posmakować jego gniewu. Herbert zdaje się nas

pytać, czy Bóg, który ingerowałby w widoczny sposób w nasze poczynania, który nie pozwalałby nam toczyć naszych wojen, zabijać w znanych tylko nam celach, oraz potrafił zaglądnąć (poprzez siłę dedukcji) w nasze myśli, czy taki Bóg rzeczywiście byłby uosobieniem naszych marzeń.

Nie sposób nie wynieść z lektury *Diuny* wrażenia, iż autor szczerze w to wątpi. Oto Leto — istota która dała imperium najdłuższy w historii pokój, staje się powoli obiektem skrywanej nienawiści całej rasy ludzkiej, tej samej rasy, która tylko dzięki ingerencji Imperatora jest w stanie zapewnić sobie przetrwanie. Niestety, nie doświadczając wizji, która prześladuje Leto, nie sposób uwierzyć w zapewnienia cielesnego boga. Ludzie widzą w nim jedynie uosobienie własnych ograniczeń. Chcą kochać, przyjaźnić się, nienawidzić i mordować ale nie tych, na których pozwala im ktoś lepszy od nich, ale tych, których interesy wiążą się w jakiś, pozytywny bądź negatywny, sposób z ich interesami.

A więc Bóg jest zagrożeniem, czujemy, iż nim jest gdyż przeczy naszej naturze, jednakże próbując go zniszczyć, wyprzec z nas ów pierwiastek bądź gen boskości, możemy próbować zniszczyć siebie samych, może nawet nie cieleśnie, lecz w świadomości. Jak w tym kontekście odnajdujemy kwestię genomu w ludzkim DNA, odpowiedzialnego za skłonność do wierzeń? Jeżeli wnioski wysunięte przez naukowców choć w najmniejszym stopniu zgadzają się z rzeczywistością, czy przytłumienie w jakiś sposób tego genu bądź też jego zlikwidowanie, uczyniłoby nas mniej ludzkimi? Czy stracilibyśmy coś z naszej gatunkowej świadomości? Czy Ja-człowiek wciąż było by mną-człowiekiem, czy też czymś już bardziej obcym?

Koncepcja boga Leto, chcąc nie chcąc implikuje masę pytań na które wciąż nie można uzyskać jednoznacznej odpowiedzi, być może właśnie w tym tkwi jej, przez niektórych wyśmiewana, wielkość.

Jeszcze jedna jesień średniowiecza

Opisana powyżej forma boskości, będąc operacją na ludzkim świecie i ludzkim ciele, stanowi jednak dla przeciętnego człowieka formę nieosiągalną. Spośród koncepcji boga-człowieka trudno zresztą wybrać choć jedną, która nie była by nam w jakiś sposób narzucona z góry, zarazem otwierając swoją boskość na każdego homo-sapiens, chętnego zdobycia takich doświadczeń. Spośród nielicznych kandydatów w podobny sposób przedstawiających drogę do osiągnięcia wyższego poziomu świadomości, mój wybór padł na powieść *Trudno być bogiem* Arkadija i Borysa Strugackich. Czysto hipotetyczne pytanie — czyż może być coś bardziej ekscytującego niż poczucie potęgi boskiej we własnym ciele? Bracia Strugaccy w wykreowanym przez siebie wszechświecie postanowili dać w dłonie tę moc ludzkości, nie uciekając się do jakichś wyszukanych, niezrozumiałych sztuczek.

Mamy tu do czynienia ze scenariuszem, który z nikłym, aczkolwiek wciąż realnym prawdopodobieństwem, mógłby przybrać w przyszłości materialne wcielenie, oczywiście jeśli jako gatunek nie strzelilibyśmy sobie do tego czasu jakiegoś paskudnego gola samobójczego. Ludzie — rasa rozwinięta do tego już stopnia, iż potrafi odbywać podróże międzygwiazdne, odkrywa zamieszkaną, podobną Ziemi planetę, którą nazywa później Arkanar. Istoty zamieszkujące Arkanar odbiegają w koncepcji znacznie od fantastycznych wizji większości twórców Sci-fi, ucieleśniając się w formie typowo ludzkiego ciała. Co więcej, mieszkańcy planety, mimo poddania deformującej sile nieskrępowanej ewolucji, zmuszeni są przechodzić stadia rozwoju kultury i nauki, podobne tym znanym z ziemskiej historii. Kiedy ludzie decydują się zejść między niższe rozwinięte kopie siebie samych, na Arkanar panuje okres, który najprościej przyrównać można by do naszego średniowiecza.

Samozwańczy bogowie z Ziemi, będąc w znacznej mierze wytrenowani na historyków, mają jedno nadrzędne zadanie — przyspieszyć za pomocą wszelkich dostępnych sposobów naturalnie wyglądającą ewolucję kultury Arkanar, bądź też w przypadku złego obrotu spraw, skierować ją na właściwe tory. Czy znany nam Bóg mógłby postępować w podobny sposób, kierując naszą ewolucją w tak, abyśmy sami tego nie dostrzegali? Wręcz przeciwnie. Biorąc pod lupę jedynie tę najpopularniejszą na Ziemi zbiornicę wiedzy religijnej — Biblię, bez większego wysiłku dostrzec możemy, iż ów Bóg, którego każe nam się kochać, pokonuje przeszkody w kształtowaniu swojego stworzenia w nieco bardziej drastyczny, powiedziałbym „amerykański” sposób, że wspomnę tylko o wytępieniu prawie całej populacji wszelkich przedstawicieli istot żywych (czym Boga tak zdenerwowały biedne rysie, że do dziś nie potrafią się pozbierać?). Bóg wie czego chce i nie zastanawia się długo nad przedstawieniem swoich planów ludzkości, oraz ewentualnym do nich jej przekonaniu. Wydawać by się mogło, iż Strugaccy, prowadząc ludzkość do rozkwitu możliwości technologicznych, wymywiają z niej wszelkie grzechy samolubności, również te właściwe

chrześcijańskiemu Bogowi. Być może, choć jest to moje własne twierdzenie, autorzy używają Biblii starego testamentu jako środka, którego uważne studiowanie, pozwoli nam uzyskać wiedzę, jak nie powinniśmy postępować będąc obdarzeni możliwościami wcielenia się w siłę zdolną do kształtowania rzeczywistości.

Czy Bóg mógłby obawiać się, iż jego własne dzieło, prześcignie kiedyś pod względem doskonałości jego samego? Co z takim problemem zrobił by On — stwórca? Czy zmiotłby je z powierzchni Ziemi destrukcyjną falą i zezwolił wybranym osobnikom na jeszcze jedną szansę prawidłowego wybrania ścieżki, czy też pozwoliłby mu na spokojną koegzystencję w niesamowicie rozległym przecież wszechświecie? Są to dalece idące, oddalające się już od idei Strugackich pytania, jednakże jedną wątpliwość — czy ludzie o mentalności zbliżonej do mentalności nas samych, zdolni byłiby grać taką rolę, rolę lepszego, pełniejszego Boga — Autorzy pozostawiają zupełnie rozwiązane.

Strugaccy ukazują nam, oprócz tych nielicznych neutralnych postaci ziemskich bogów, których wkład w pozytywną ewolucję wydaje się być jednak dość marny, kilku antybohaterów, przejawiających znane każdemu człowiekowi cechy, głównie żądzę prawdziwej, fizycznej władzy, przez co czynią nowemu światu nieproporcjonalnie większe szkody niż ów świat uczynić mógłby samemu sobie. W powieści Strugackich nie jest ważne doświadczenie i wiedza naszych domowej produkcji bogów, gdyż nawet wśród osób przejawiających owe cnoty, znajdzie się zawsze choćby i jeden egzemplarz ze skazą, która niezwłocznie ukaże nam marność wszelkich starań.

Strugaccy zdają się mówić, iż człowiek, jeśli nie ulegnie jakiejś drastycznej rewolucji psychicznej, nie ma moralnego prawa odgrywać wśród niżej rozwiniętych cywilizacji roli boga. Bez ingerencji, która z punktu widzenia naszej moralności wydaje się być w takim przypadku ostatecznością, nie będziemy potrafili uczynić obcych lepszymi, bo kimże zresztą jesteśmy, abyśmy mogli decydować wedle własnych standardów, co jest dobre a co złe.

Jest to zagadnienie dość mocno korespondujące z problemami poruszonymi przez antropologię kulturową, wszakże sama decyzja o przedsięwzięciu delikatnych nacisków na kształtującą się cywilizację, moralnie, nawet w założeniach była nie do przyjęcia. Ludzkość podjęła ją, gdyż uwierzyła w swoje boskie prawo do osądzania innych wedle własnych doświadczeń. Być może dużo trafniejszym wyborem, niosącym za sobą znacznie mniejsze szkody było by zastąpienie bogów-historyków, bogami-antropologami?

Nie wydaje się, iż takie rozwiązanie eliminowałoby wszelkie problemy, wszak sedno tkwi w ludzkiej naturze, to ona wydaje się największym wrogiem nas samych w osiągnięciu stanu nadczłowieka (Nietzsche'ańska definicja tego słowa, bez zbędnej nadinterpretacji co do prawdziwej moralności, niech posłuży tu jedynie jako formułka). Nadczłowiek — nadantropolog, istota będąca już nie tyle efektem właściwego wychowania co ścisłego projektu, poprzez złączenie naszej moralności (którą Nietzsche nazwałby moralnością niewolników) z psychiką pozbawioną skaz nie do końca odrzuconej zwierzęcości, mogłaby stać się rozwiązaniem problemu postawionego przez rosyjskich twórców. Mogłaby, aczkolwiek trudno jest określić czy sama w sobie nie przeczyła by istocie naszej moralności. Kolejne dywagacje rozwiewają się w chłodnych podmuchach wątpliwości.

Kosmiczne podróże z Herodotem

Tym razem moje spekulacje uczipią się niczym pasożyt nazwiska Dan Simmons, oraz jego czteroczęściowej serii na którą składają się: *Hyperion*, *Upadek Hyperiona*, *Endymion* oraz *Triumf Endymiona* — każda o dość poważnej posturze, jeśli można w ogóle użyć takiego zwrotu w stosunku do przetworzonego pnia drzewa. Moje uczucia co do samego Simmons'a są dość niestałe. Z jednej strony, autor potrafi się zdecydowanie zbyt często uciekać do naiwnie brzmiących formułek ilustrujących rozkwitające zjawisko miłości między dwojgiem ludzi, od których wzbiera w człowieku nieproszone zażenowanie, z drugiej jednak jego zdolność do bezbolesnego przemieszczania się między odmianami prozy, talent do tworzenia ogromnych, kompleksowych wizji żywego wszechświata oraz nierzadka oryginalność idei potrafią przykryć wszelkie wady opowiadanych historii. Koncepcje istot boskich są w omawianym cyklu jedną z najważniejszych, ciągnących się poprzez całą opowieść kwestii, ocierających się zresztą od czasu do czasu o sferę niemalże duchową. Właśnie ową sferę chciałbym tu pominąć i zająć się czymś, w moim mniemaniu, znacznie ciekawiej opisanym i być może przez to oryginalniejszym i zastanawiającym, a mianowicie bóstwem przejawiającym się w stworzonej przez człowieka sztucznej inteligencji.

Nie bez powodu kilkanaście wierszy powyżej użyłem słowa pasożyt, gdyż koncepcja maszyny-boga stworzona przez amerykańskiego pisarza opiera się na pospolitym w założeniach pasożytowaniu. Bóstwo te bierze swój początek z prostego programu, który rozkładając dostarczane

mu bajty-informacje tworzy kolejne informacje budujące jego ciało, jednakże o zwiększonej objętości. Właśnie owa początkowa postać praprzodka SI, kluczowa jest w zrozumieniu koncepcji boga-maszyny Simmonsa. Podążając za opowieścią, obserwujemy dalszy rozwój programu, poprzez formę niewolnika ludzi w ich eksperymentach, formę która poprzez ukryty udział w zniszczeniu Ziemi pozwala na jej rozkwit w galaktyce, aż po formę pozornie żyjącą z ludzkością w perfekcyjnej symbiozie.

Sedno teorii boga-maszyny leży jednak, jak już wspomniałem, w pasożytnictwie, które ostatecznie okazuje się zresztą jego zgubą. Nosicielem pasożyta jest nie kto inny jak człowiek, a raczej jego mózg. Sztuczne inteligencje pozwalając rozprzestrzenić się ludzkości w kosmosie, mają na celu zwiększenie liczebności swoich nosicieli. Ofiarując ludziom środek transportu pozwalający na natychmiastowy przeskok z jednego miejsca w drugie, zapewniają sobie nieograniczony dostęp do mocy obliczeniowej umysłów z niego korzystających.

Kiedy ludzkość zaś uwalnia się pozornie z niewoli maszyn, one ofiarują jej krzyżokształt — symbiot pozwalający na reprodukcję ciała wraz z osobowością zmarłej osoby, będący jednak ostatecznym narzędziem pełnej kontroli ludzi, którzy poprzez jego przyjęcie, przestawali być realnym zagrożeniem dla SI.

Jakież spostrzeżenia niesie ze sobą ukazanie boskiej istoty jako pasożytniczego, sztucznego intelektu? Odpowiedź wydaje się wręcz nachalna i tym razem niestety nie zdołam uciec już od kwestii wiary, bowiem bóg-maszyna koresponduje z wszelkimi nam znanymi koncepcjami boga, jako obiektu, któremu składa się cześć, którego się czci.

Czy popełnię karygodną omyłkę, jeśli stwierdzę, iż bóg w takiej formie, nie może istnieć bez wiary w niego, ergo staje się pasożytem, gdyż energię swoją czerpie nie z natury, lecz z żywych organizmów w pospolity sposób funkcjonujących. Poruszając poprzednią koncepcję boga, stwierdziłem, iż Bóg chrześcijański nie zgładził wszelkich ludzi, gdyż mógł chcieć im dać kolejną szansę, jeszcze raz ustawić kolej rzeczy po swojemu.

Jeśli jednak wstawimy w tę strukturę koncepcję boga-pasożyta, czy zachowanie gatunku nie nabiera zgoła innej wymowy, a słowa „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się” wręcz ironicznego posmaku? Jeśli każda forma boska wymagająca od nas wiary, mogłaby być jedną i tą samą istotą, bądź wieloma istnieniami, w obu przypadkach jednak uzależniającą swoje istnienie lub, mówiąc łagodniej, potęgę i wpływy od tej naszej wiary, moglibyśmy śmiało uznać owe formy za formy pasożytnicze, pewnego rodzaju maszyny nie potrafiące funkcjonować bez pobierania energii od organizmów, które oparły swoje funkcjonowanie o środki pozwalające na daleko bardziej rozwiniętą niezależność.

To właśnie brak niezależności był problemem, który pchnął boga-SI wymyślonego przez Simmonsa do próby podporządkowania sobie organizmu ludzkiego, bez konieczności zezwolenia mu na jakąkolwiek swobodę w działaniach. Simmons zdaje się ostrzegać, iż doznania jakich doświadczamy zawierając swoje życie bogom z naszych wierzeń, nie ważne czy prawdziwe czy też nie, mogą być jedynie bodźcem, taką swoistą dawką skumulowanej energii, za pomocą której karmimy jakąś wynaturzoną formę istnienia krążącą we wszechświecie w poszukiwaniu źródeł ofiar. Czy jest w tym jakiś większy sens, czy też nie do końca, jedna myśl jest dość jasna — pozwalając uzależnić się komuś od siebie, odwracając się później od niego, narażamy się na cios ostrym narzędziem w plecy.

Twój koszmar twoim najlepszym przyjacielem

Grzechem wielu autorów jest skłonność do miejscowienia ludzkości w centrum wszechświata, nadawaniu jej jakiegoś mniej lub bardziej jasnego zadania, podkreślając jej istnienie jako bytu nadającego pęd w odkrywaniu i ukazywaniu niezwykłości nieznanym, niezwykłym rejonom kosmosu. Moim jednak zdaniem, nasz gatunek nie jest niczym szczególnym w tym niewyobraźalnie ogromnym wszechświecie. Sądzę, iż znacznie bliżej nam do zbiorowiska drobinek piasku na poruszanej gwałtownymi wiatrami pustyni, niż do duchowego przywództwa we wszechświecie.

Stephen King napisał kiedyś, iż „*Świat to potwór zębaty, gotów gryźć, gdy tylko zechce*” [2], i bardzo prawdopodobnym jest, że ludzkość znajduje się raczej u dołu pewnego, jeszcze nie do końca pojętego łańcucha pokarmowego, choć w sensie raczej nie związanym z kulinariami.

Być może właśnie ze względu na ten mój pogląd, tak mocno trafiła do mnie koncepcja boga, stworzona przez naszego największego rodzimego twórcę science-fiction — Stanisława Lema. Nie przypominam sobie drugiej takiej powieści jak *Solaris* w dorobku Lema, w której autor zapuszczałby się tak namiętnie w rejony filozofii, zresztą nie zetknąłem się zbyt wieloma dziełami polskich fantastów tak dalece eksplorujących tę dziedzinę.

Solaris jest dziełem wyjątkowym w każdym calu, w zasadzie jedyną powieścią, którą potrafię czytać raz za razem bez poczucia znudzenia. *Solaris* jest zarazem nazwą planety pokrytą najwyraźniej inteligentnym, galaretowatym oceanem, z którym rozentuzjasmowana początkowo ludzkość stara się nawiązać kontakt. Jednakże wszelkie, początkowo dość czytelne reakcje oceanu na bodźce, kończą się swoistym znudzeniem i zaniedbaniem z jego strony.

Stanisław Lem wkłada w usta swoich bohaterów multum teorii odnośnie *Solaris*, tak jakby jego nadrzędnym celem było zachęcenie czytelnika do własnych dywagacji i wycieczek w sferę oryginalnych przypuszczeń, lecz najciekawszą wydaje się ta jedna, wysunięta pod koniec opowieści, mianowicie teoria *Solaris* jako upośledzonego, zatrzymanego w rozwoju boga.

Solaris, jeśli podniesiemy ją do rangi istoty boskiej, jest bóstwem niezwykłym, z początku zupełnie nie zwracającym uwagi na mało znaczących w jego skali ludzi, dla których procesy zachodzące na jego powierzchni wydają się tak bardzo niezwykle, choć najprawdopodobniej są dość prostymi, nic nieznaczącymi przejawami pracy okrywającego glob oceanicznego organizmu.

Również twory F - postaci wyjęte wprost z najciemniejszych zaułków umysłów ostatnich badaczy *Solaris*, istoty ludzkie o ciałach tak niesamowicie doskonałych w swej strukturze, iż ledwo mieszczących się w założeniach ziemskiej nauki, mimo entuzjastycznych opinii o wyczekiwanej kontakcie, okazują się chwilowym muśnięciem zaciekawienia potężnego umysłu, i tak jak poprzednio, kończą zaniechaniem ze strony oceanu, mimo dramatycznych prób ludzi w podtrzymaniu kontaktu (kontaktem będącym tylko w przypuszczeniach ziemian).

Koncepcja upośledzonego boga, poprzez nabycie cech zaawansowanej kreacji, nie gorszej od tej właściwej bogom większości z naszych religii, ma w sobie coś niezmiernie interesującego. Pokazuje nam istotę organiczną, która być może podążała ścieżką prowadzącą do osiągnięcia statutu Boga-Absolutu, bądź przynajmniej Boga o potędze przejawiającej się w najwyższych bóstwach ziemskich religii, lecz z jakiegoś powodu powstrzymanego od osiągnięcia postaci „skazującej” go na konieczność przejmowania się losami istot takich jak my.

Czyż bóg samolubny, takie wszechmocne, wieczne dziecko, które nie chce zwracać uwagi na nieciekawe mrówki tłoczące się u jego stóp, być może bardziej zajęte gaszeniem i zapalaniem dla zabawy odległych słońc nie był by, tak jak uznał główny bohater powieści - Kris, jedynym bogiem w jakiego skłonni bylibyśmy uwierzyć bez większych oporów?

Być może największą trudnością w zaakceptowaniu takiego postawienia spraw, jest właśnie fakt odrzucenia ludzkości, jako niegodnej uwagi. Bóg nie poświęcający dla nas swojego potomstwa, nie zajmujący się wciskaniem swojego przemądrzałego nosa w każdą dziedzinę naszego życia, nie próbujący nas przekonać do siebie cklowymi formułkami o wszechobecnej miłości, istota organiczna pozbawiona duchowych wartości — czyż nie jest to idealny Bóg w tym zepsutym świecie, taki na jakiego ów świat zasługuje, taki na jakiego my zasługujemy?

Nie przeczę, nasz gatunek wydał na świat wiele osobowości godnych naśladowania, zwyczajnie dobrych bądź o niezwyklej inteligencji, lecz obserwacja jak każdy kolejny pomysł na ułożenie społeczeństwa w pewnych, akceptowalnych ramach kończy się mniej bądź bardziej subtelnym zniewoleniem jednostki, każe przypuszczać, iż cnotliwa istota wyższa, zwyczajnie nie ma tu prawa bytu.

Być może *Solaris* był kiedyś podobnym nam społeczeństwem aż do momentu gdy uległ drastycznemu w założeniach skokowi ewolucyjnemu, być może osiągnął swój status poprzez degradację organiczną, nie jest to w tym wypadku ważne. Ważne jest, iż jako istota boska mógłby wypełnić ogromną lukę jaką nasza potrzeba kontaktu z czymś wyższym i lepszym od nas, nadal draży w próbach naukowego ogarnięcia problemu życia przez wciąż zacofane pod tym względem społeczeństwo. Mimo, iż zawsze starałem się nie zamykać za sobą furtki prowadzącej do możliwości istnienia sfery duchowej w religijnym tego słowa znaczeniu, wydaje się, iż najłżejszy podmuch wiedzy o wszechświecie wystarczył by dość solidnie ją zatrasnąć.

A może by tak o krok dalej?

Na sam koniec spróbuję podejść do problemu boskości w science-fiction z odrobiną innej perspektywy. Bez przedłużania stanu niepewności, zdradzę, iż zainspirowała mnie do tego powieść Arthur'a C. Clarke'a pod tytułem *2001: Odyseja Kosmiczna*. Powieść ta, dość różna w wydźwięku od swojej znanej powszechnie ekranizacji, stara się koncentrować bardziej na technicznym utorowaniu drogi istotom biologicznym do stanu bóstwa. Arthur C. Clarke, w pewnym momencie roztacza przed nami wizję, zupełnie pominiętą w filmie Stanleya Kubricka, mechanicznej ewolucji właśnie poprzez pewnego rodzaju uświęconą naukę.

Nauka, traktowana przez obce istoty jako świętość, jako pewnego rodzaju bóstwo, pozwala im na niekomplikowane przez kwestie moralne porzucenie organicznych ciał, przybranie formy, którą porównać można jedynie do formy duszy, z początku związanej z mechanicznymi wytworami obcej technologii, później jednak wyrwanej z jakichkolwiek ograniczających ram. Z pominięciem koncepcji upośledzonego boga z powieści „Solaris” oraz postaci Leto II, również poprzednie przykłady przeze mnie przytoczone wydają się mniej bądź bardziej odnosić do naukowego rozwoju istot żywych.

Clarke, bez względu na to jakie motywy kierowały nim podczas tworzenia obrazu rozwoju obcych, wydaje się ostrzegać nas (nie zgodzę się ze zdaniem tych, którzy twierdzą iż jest to zachęta) przed nadmiernym zawierzeniem w boga-naukę, gdyż prędzej czy później doprowadzi to do porzucenia tego co uważamy za tak cenne, porzucenia naszego człowieczeństwa wiążącego się z fizycznym odczuwaniem bodźców.

Stan w jakim znaleźli się obcy po przebyciu sterowanej mechanicznie ewolucji pozwalał im na dokonywanie wielkich rzeczy, na nieograniczone podróże międzygwiazdne oraz obserwowanie życia rodzącego się i umierającego we wszechświecie, ale również na decydowanie o losie gatunków, które mogły według ich przewidywań wyrządzić jakąś szkodę wszechświatowi. Zdecydować się na zagładę całej rasy?

Wydawać by się mogło, iż istoty podejmujące takie decyzje muszą być całkowicie pozbawione sumienia, a najprostszą do tego drogą jest pozbycie się ważnej części własnej osobowości, gdyż wbrew pozorom, rzeknięcie się ciała materialnego, implikuje również rzeknięcie się części własnego jestestwa i musi prowadzić do groźnych anomalii w sposobie postrzegania świata. Pozostaje mieć jedynie nadzieję, iż istnieje jakiś złoty środek do bezustannego rozwoju technologicznego, bez konieczności ustawiania jego statutu jako boga, oraz nie powodujący konieczności wyzbycia się resztek naszej moralności.

Zejsście.

Eddie Izzard rzekł kiedyś, że religie nie są tak naprawdę religiami, a jedynie filozofiami, jedne z ciekawymi założeniami, a inne z (tu wstawić można niecenzuralne słowo zaczynające się na literę, której nawet nie śmiem przytaczać) dziwaczny [3]. Jeśli więc „zdarza” się ludziom akceptować zupełnie nielogiczne filozofie i opierać na nich swój światopogląd, czemu nie mielibyśmy rozważać innych, równie lub bardziej fantastycznych?

Bibliografia:

1. Herbert Frank, *Bóg Imperator Diuny*, Rebis, Poznań 2009.
2. Strugaccy Borys i Arkadij, *Trudno być bogiem*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2008.
3. Simmons Dan, *Hyperion*, Mag, Warszawa 2007.
4. Simmons Dan, *Upadek Hyperiona*, Mag, Warszawa 2008.
5. Simmons Dan, *Endymion*, Mag, Warszawa 2008.
6. Simmons Dan, *Triumf Endymiona*, Mag, Warszawa 2009.
7. Lem Stanisław, *Solaris*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002
8. Clarke Arthur C., *2001: Odyseja kosmiczna*, Vis a vis/Etiuda, Kraków 2008.

Przypisy:

[1] Ewangelia według Św. Jana 1,1-14, *Biblia Tysiąclecia*, Pallatinum, Warszawa-Poznań 1980.

[2] Stephen King, *Pokochała Toma Gordona*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1999.

[3] Eddie Izzard, *Circle Live Stand Up Comedy*.

Łukasz Kubasiewicz

Student kulturoznawstwa, pasjonat astronomii, grafiki komputerowej, nauki i techniki oraz literatury.

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 15-03-2010)

Oryginał. (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,7201>)

Contents Copyright © 2000-2010 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2010 Michał Przech

Autorem portalu Racjonalista.pl jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielami portalu są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie strony tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl